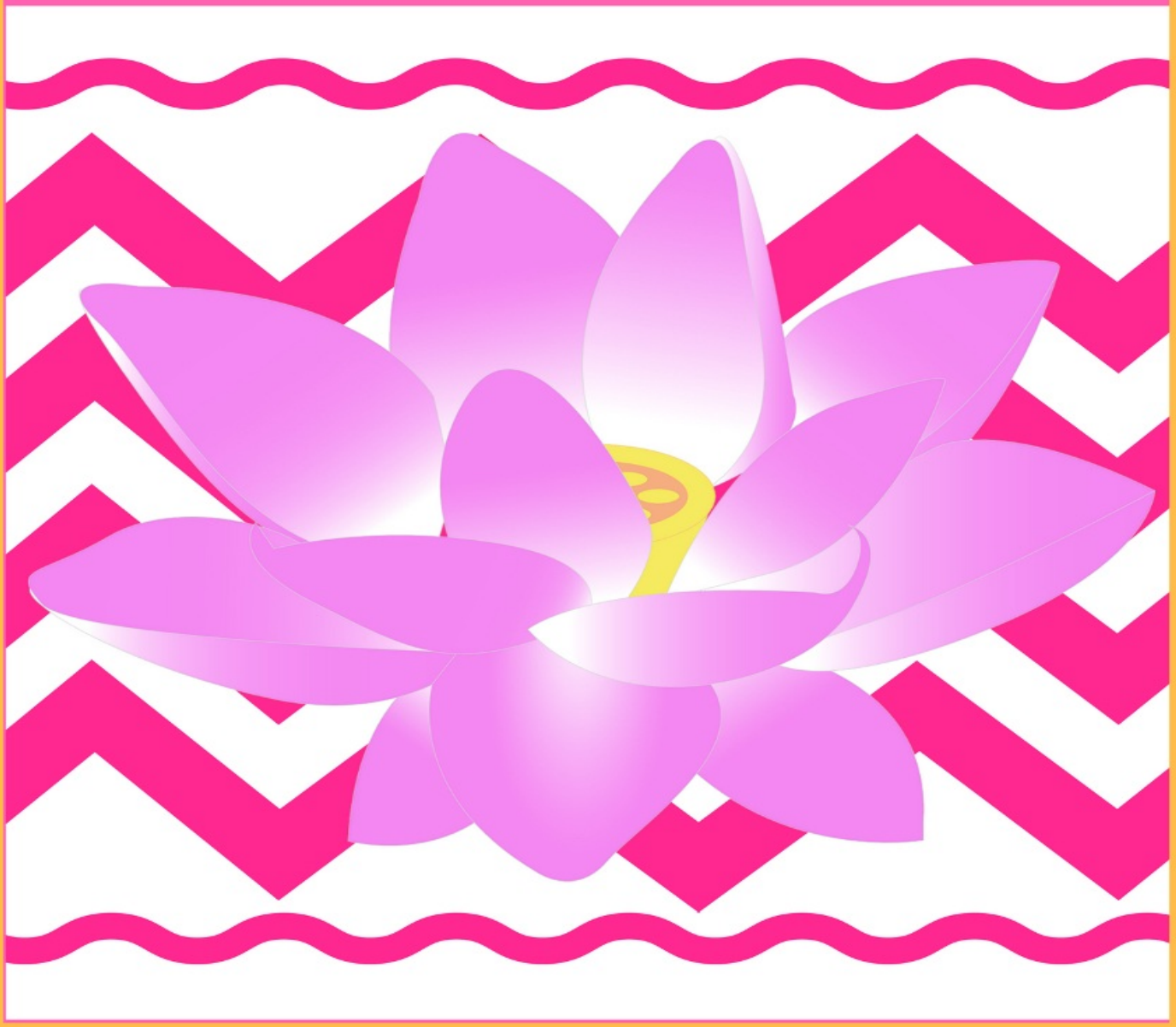
Juliusz Kaden-Bandrowski



Miasto mojej matki

Juliusz Kaden-Bandrowski

MIASTO MOJEJ MATKI

Wydanie piąte

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Juliusz Kaden-Bandrowski
„Miasto mojej matki”

Copyright © by Juliusz Kaden-Bandrowski, 1936
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie
Wydawnictwo: Wydawnictwo Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich
Lwów, 1936

ISBN: 978-83-8119-357-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

MIASTO MOJEJ MATKI

Przypomnij sobie, co myślisz o ojcu, a co i jak myślisz zwykle o matce.

Ojciec to twoja duma, tarcza, sława i obrona, — od najwcześniejszych lat. Gdy mówią o tobie obcy, zwykle pytają — a czyj to? Z których to, proszę państwa, takich, siakich, owakich. — Malinowskich, Ostrowskich, czy Symchów? Czy to będzie, proszę pani, tego naszego doktora?

Posłuchajno uważnie, powiedzieli „naszego". Widać twój ojciec leczył ich tam gdzieś jakoś i radził im i pomagał, — naszym go nazywają.

Więc nawet nie odpowiadasz wcale na takie pytanie, tylko piersi ci się uniosły wysoko, policzki objął rumieniec i ciepło płynie przez serce.

A jeśli twój ojciec jest jeszcze bardziej znany, sławny w całym kraju, wystarczy, że wymówią wasze wspólne nazwisko, twoje i ojca, — bo jedno przecie macie nazawsze, — i pokręcą nad tobą głowami. Jakby odrazu korzyść niewidzialną z tego nazwiska czerpali.

A jeśli twój ojciec nie jest człowiekiem sławnym, ale, przypuśćmy, takim sobie zwykłym człowiekiem, to przecie ty wiesz, ilu ludzi przychodzi do niego ciągle po jego pracę. Jeżeli jest szewcem, ciągle go potrzebują, stukają w okno, w drzwi. Tak długo siedzą na zydlu i czekają. Jeżeli jest zwykłym górnikiem i skałę tylko kruszyć umie? Ty wiesz, że jego prosta praca daje ludziom ciepło przez zimowe miesiące, i co więcej,

jest duszą całego przemysłu.

Jeżeli jest listonoszem, czyli, że roznosi listy, — jest ważnym posłem, nie mniej ważnym od posłów, którzy jadą w karecie przez wielkie, obce miasto, wysłani na koszt całego narodu. Nawet ważniejszym! Bo tamten poseł załatwia sprawy i interesy gospodarcze, czy polityczne, ale twój ojciec, listonosz, może w zwykłym liście przynieść wiadomość o narodzinach brata, szczęściu, lub nieszczęściu, jest więc posłem serca i miłości.

A jeśliby twój ojciec nie był ani sławnym, ani uczonym, ani robotnikiem, ani rolnikiem, ani listonoszem. Niech będzie tylko bardzo biednym człowiekiem. Żyje, jak może i tak mu trudno łatać z dnia na dzień swój ciężki los.

To nic!

Od najbiedniejszych nawet ludzi są jeszcze zawsze i wszędzie biedniejsi, — taki jest świat. Ty wiesz, że dla tych biedniejszych tyle razy jeszcze twój najbiedniejszy ojciec był jedynym ratunkiem.

Gdy się o nim mówi, możesz być równie dumny, jak syn króla, prezydenta, doktora i listonosza.

Twój ojciec to twoja duma, honor, sława i obrona.

Ale matka?

Matka nie ma czasu wyjść z domu, bo ty tam jesteś z rodzeństwem. Trzeba was karmić, pilnować, ubierać, trzeba przygotować, sporządzić to wszystko, czego codziennie potrzebujesz, a co ci się wydaje tak łatwe do zdobycia i do sporządzenia, jak powietrze, którem oddychasz. Wydaje się to łatwem, bo matka nigdy nie wypomina, że podaje ci te wszystkie rzeczy z wdzięczną radością.

Matka nie ma czasu wyjść z domu i żadnej drogi własnej nie ma, gdyż ty z rodzeństwem stoisz na wszystkich jej drogach, a ona ci ze wszystkich wszystko swoje oddaje. Własnego talentu, zabawy, nauki zaniedbuje, abyś ty miał każdej chwili, ile ci tylko trzeba.

A jeśli pragniesz mało, gdy w niej jest więcej, ona to „więcej" zapomni i straci bez żalu, abyś miał właśnie dość, jak ci trzeba.

Przyzwyczajasz się i nie pamiętasz, ile w tem dobrej, a jakby bezimiennej, nienazwanej nigdy pracy i czujności. Tymczasem praca owa i czujność z drobiazgów złożona a ogromna, o której prawie nie wiemy, nie pamiętamy, nie raczymy myśleć, stanowi o naszym charakterze, wychowaniu i całem powodzeniu późniejszego życia.

Jako dorosły mężczyzna w pracy, w pokoju, na wojnie przekonałem się, że wszystko, com dobrego zrobił, w tych właśnie cnotach matczynych miało początek. Jej uśmiechy dawniej niezauważone, jej łzy tylekroć przez nas, dzieci, wzgardzone, jej myśli wielkie i skromne, tyle razy przez nas, młodych chłopaków, wyśmiane, one to przecie były nade mną, stopione w gwieździe przewodniej, błyszczącej radośnie nad każdą dobrą chwilą.

Teraz to wiem i rozumiem, ale powiedzieć matce swojej nie mogę, bo już jej niema na świecie.

I tu właśnie zaczyna się MIASTO MOJEJ MATKI z wdzięków i dobroci wzniesione, przy bezpowrotnej drodze człowieka chwalebnie budowane, nie w kamieniu, czy też w granicie, ani w kruszcu, — lecz budowane z cudownego drzewa ludzkiej wdzięczności. To wielkie, miasto wszędzie za mną chodzi, wszędzie gdzie jestem wonią jego oddycham i zawsze tylko

jestem na jego krańcach, bo choć je przemierzam myślą wzdłuż i wszerz, nigdy piękności jego do gruntu nie poznam.

Czy mnie rozumiesz?

Ojciec, — to honor, siła i obrona. Gdy się człowiekiem staniesz, oddać mu będziesz mógł siłą, honorem i obroną.

Ale matce nigdy nie oddasz, dłużny już nazawsze. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął, jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie.

Dlatego pierwsza moja książka dla młodzieży, dla was, kochani, dobrzy nasi następcy, taki ma tytuł:

MIASTO MOJEJ MATKI.

A cel ma taki: byś, przeczytawszy te stronice, niewiele o mnie myślał, lecz by się w tobie o zmroku czy południu wywiązał nagle ów poryw nieodrodny, którym zmożony, pójdziesz do swej matki i nagle, ukradkiem, za rękę nawet nie biorąc, złożysz na jej czole ostrożny pocałunek, lżejszy, niż puch wierzbiny, płynący przez wiosenne powietrze.

RODZICE

(Czyli to, czego się nie da opowiedzieć)

Chcę opowiedzieć o pierwszych moich wspomnieniach, najpierwszych, o tem, co się pamięta, nim się wogóle cośkolwiek rozumie. Z różnych stron i czasów mego życia wynurza się tysiąc małych, pośpiesznych wydarzeń, a tyle ich jest, takim się zjawiły natłokiem, że przeszkadzają tylko!

Siedzę więc nad pustą kartką papieru, udaję, że nie słyszę, jak ptaki świergocą na drzewach, jak na dole ktoś chodzi i hałasuje w bielonym wczoraj korytarzu, udaję, że nie widzę, jak wiatr miecie przez stół prochy kwitnącej przy domu akacji, — i mruczę do samego siebie. Własną myślą jakbym się zanurzał głębiej i głębiej, a byle co sprawia, że mnie tajemna woda przeszłości wyrzuca wgórę, na samą powierzchnię dzisiejszego dnia.

Nie gorsz się dziwnem porównaniem. Napisałem tajemna woda, by rzecz nabrała zimnej głębokości, przez którą jakbym płynął do samych początków pamięci swego życia.

Aż oto nareszcie widzę najwyraźniej: Złota lampa pod białym kloszem wisi w środku pokoju. Nade mną za gęstą siatką łóżka wznosi się po ścianie do góry, jakby łąka zielona, żółta i czerwona. Jest to wielki nowy dywan włóczkowy. Wisi na nim coś, co chcę mieć, dotykać, a najchętniej poślinić. To malutka karabela w pochwie z czerwonego aksamitu. Macham rękami, upadłem, znowu się podnoszę.

Tymczasem wielka ręka mego ojca odpina szablę z dywanu i pod lampą, między ścianami, poważnie zaczyna kroczyć. Oczywiście, nie ręka, a ojciec w szarem, kostropatem ubraniu, z bródką i z wąsami. Gdy patrzy na mnie, wybucham śmiechem. Gdy położy rękę na mojem czole, mógłbym odrazu zasnąć.

Wymachuje karabelą, tupie mocno nogami i mówi do mnie. Nie rozumiem nic oczywiście, ale mówienie to sprawia mi niewysłowioną przyjemność.

Pod ścianą i za zakrętem dywanu siedzą roześmiane ciotki.

Ojciec zbliża się do łóżka, dzwoniąc kluczami. Dziś wiem, że

klucze nosi się w kieszeniach, wtedy jednak, skądże miałem to wiedzieć?! Rozumiałem tylko, że kroki mego ojca wydają dźwięk drobnego metalu.

I tak nas obu już nazawsze pamiętam: ojca, jak stoi naprzeciw, jedną rękę trzyma na mojej głowie a drugą podaje mi zimne, błyszczące klucze.

Okazało się później, że była to w naszem życiu chwila bardzo ważna. Z wielkiej żarłoczności zjadłem był pono surowego ziemniaka i ciężko chorowałem. Ów dzień szabli i kluczyków był pierwszym dniem powrotu do zdrowia. Podczas mojej choroby rodzice utkali wspólnie ten dywan przez długie noce czuwania. Razem z małą karabelą zawiesili go nad łóżkiem.

Cała rzecz działa się w mieście Rzeszowie, gdzie później kiedyś zajechałem, już jako człowiek dorosły. Był wtedy śnieg, — zima i wojna zarazem.

Niby mnie coś prowadziło przez ulice zgłuszonego miasta i niby szedłem jakąś drogą w stronę rodzinnego domu, gdzieby mnie może czekały stare, chętne ściany. Już mi się zdawało, że widzę nasze okna, już im gotów byłem swą wdzięczność ofiarować, ale tu się numer bramy nie zgadzał, tam znów nazwisko właściciela całkiem było inne. To jedno tylko zgodziło się dosłownie, że dzwonki sanek tak właśnie grały w mgle, jak zimne, gładkie, wesołe klucze mego ojca.

Kiedyśmy w dzieciństwie mojem przejechali z Rzeszowa do Krakowa, jak się to wszystko odbyło, — nie pamiętam.

Wiem tylko — i to jest drugie zkolei wspomnienie mego życia, żeśmy przyjechali, że stałem w jakimś podłużnym, wysokim pokoju. Wszystkie drzwi były pootwierane, przeciąg kręcił się w mroku. Stałem przy piecu, obok którego siedziała moja

matka. Jej rozpuszczone brunatno-złociste włosy płynęły przez plecy za kolana, aż na podłogę.

Zawsze podczas bólu głowy rozplatała warkocze.

Na stole paliło się kilka świec a po ciemnych pokojach chodzili tam i zpowrotem robotnicy. Chodzili ciężko, z głuchym hałasem. Kosmatemi rękoma wnosili szafy i stoły, których zakurzone drzewo wydawało oschły chrzęst. Potem stawali na progu, wypinali brzuchy naprzód i utkwiwszy oczy w drżącym płomieniu świecy, mówili bardzo głośno do matki.

Podnosiła z rąk głowę i odpowiadała, patrząc na nich smutnemi oczami.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jej słuchają; była tak drobna, że nawet mnie wydawała się malutką.

Obróciwszy się powoli dokoła, zbici w gromadę, znów razem wychodzili.

W pokojach wyrastały całe góry sprzętów, odwróconych tylną stroną, niby obcych i zawstydzonych.

Robotnicy przynieśli na pasach fortepian. Stał na środku podłogi, jakby „garbaty duch". Pobiegłem za nimi, żeby zobaczyć skąd przychodzą. Już w drugim pokoju straszno mi się zrobiło. Wracałem powoli pośród rozstawionych krzeseł i foteli, z całych sił patrząc do oświetlonej jadalni, gdzie pochylona przy piecu siedziała moja matka. Nie mogłem był zobaczyć jej twarzy, tylko szeroką strugę włosów, z nad dłoni przez oparcie spływającą żywem światłem w niepewny, szary mrok.

Lata już minęły od tego czasu, a ile razy widzę jakiś dom, do którego szarówką wnoszą ludzie sprzęty... Powiem ci więcej, ile razy widzę jakieś roboty wielkie i trudne.... Powiem ci jeszcze

więcej, — ile razy widzę wielkie, trudne roboty i sam w nich jestem i działać w nich mam, tyle razy przypomina mi się i jakbym widział nad sobą i nad nami wszystkimi wysoko w mroku lśniące pasmo żywego światła.

Tyle ci chciałem opowiedzieć o pierwszych swoich wspomnieniach: jak ojca pierwszy raz w życiu zobaczyłem a jak matkę. Odłożę teraz pióro, zawołam moich chłopców i pójdziemy razem do lasu.

A wiesz na co kładę pióro? Na dywan mego zdrowia, na mały kwadracik starej, zleniałej włóczki, który przetrwał od pierwszych chwil dzieciństwa mego a teraz leży cierpliwie przy kałamarzu. Bo tyle tylko zostało z zielonej, żółtej i czerwonej łąki, którą rodzice moi razem tkali i kiedyś nad łóżeczkiem mojem przywiesili. Kwadracik ten dla nikogo nie może mieć żadnej wartości. Ale jabym go za nic nie oddał.

Dla mnie bowiem ów wątły krzyżyk włóczki, to jakby małe, kolorowe okno, przez które jeszcze dziś słychać dzwoniące klucze mego szczęścia i widać powłóczyste pasma największej mej miłości.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

